

Fake news, corrupt media?

Media społecznościowe – to znaczy głównie Google, Facebook i Twitter – chełpią się, że są demokratyczne i apolityczne, wspierają swobodę wypowiedzi i dają wszystkim możliwość wyrażenia swojej opinii, przyczyniając się do zdrowej debaty publicznej i dobrego funkcjonowania „rynku idei”. Ale jest całkiem inaczej; jest wręcz odwrotnie – pisze Agnieszka Kołakowska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Virtual Mass Media?”

Kiedyś wiadomości przechodziły w formie plotek, z ust do ust, z wioski do wioski, z miasteczka do miasteczka, anonimowo: zaczynało się od pani Kowalskiej, która powiedziała pani Pipcińskiej, która powiedziała panu Rosenbergowi, że pani Klugman wie na pewno od stolarza, że siostra rzeźnika jest w ciąży, bo na śniadanie chciała kiszony ogórek i śledzia, ale kilka dni później, w wiosce o kilkadziesiąt a może nawet kilkaset kilometrów dalej, nie wiadomo już od kogo ani przez kogo dotarła zmieniona nieco podczas swojej wędrówki wiadomość, że kowal uderzył syna mleczarza flądrami i ożenił się z córką szewca. I teraz, przeszedłszy przez trwające kilka wieków stadium prasy, redaktorów, zespołów redakcyjnych i dziennikarzy, radośnie wróciliśmy do dawnego, tradycyjnego przekazu informacji. Tylko teraz, dzięki środkom takim, jak Twitter, jest on nieco szybszy. Plotki z wioski do wioski wprawdzie przechodziły błyskawicznie, ale wiadomości przesłane przez Twitter mogą w kilka minut okrążyć świat. Nowy przekaz, jak stary, też często jest anonimowy, i jeszcze bardziej niepewny. I to się nazywa postęp.

*Plotki z wioski do wioski
wprawdzie przechodziły
błyskawicznie, ale wiadomości
przesłane przez Twitter mogą
w kilka minut okrążyć świat*

W średniowieczu
palono czarownice
na podstawie plotek.
(I nie tylko w
średniowieczu:
ostatnie palenie
czarownicy odbyło
się w Genewie w

połowie siedemnastego wieku. Wiemy coś o niej: nazywała się Michée Chauderon i mamy zapis jej przesłuchania z 1652 r., opisanego przez historyka Michel Porret w świetnej książce “*L’Ombre du diable*”.)
Różnie się to odbywało, ale bardzo często zaczynało się od oskarżeń sąsiadów o spowodowanie choroby bydła czy nieurodzaju. Inni się dołączali, oskarżenia wędrowały z wioski do wioski, do miasteczka, potem do miasta, w końcu władze musiały się tym zainteresować i kończyło się na procesie. Właśnie: na procesie. Proces był czasem mniej, czasem bardziej pro forma, ale był. Zeznania, świadkowie, przesłuchania. Po oskarżeniach w mediach społecznościowych procesów nie ma. To też się nazywa postęp. I demokracja.

Na Twitterze hasło „#metoo” przesłano kilka milionów razy. Ilu czytelników miał w gazecie “Le Monde” apel Catherine Deneuve i 99 innych kobiet, przypominający, że ręka na kolanie to jednak nie to samo, co gwałt, potępiający wściekłą kampanię oskarżeń przeciwko mężczyznom – kampanię, na którą nie ma jak odpowiedzieć ani się bronić – ubolewający, że kobiety znów są traktowane jako biedne, bezsilne ofiary a mężczyźni jako agresywne bestie, i potępiający to nowe „wyzwolenie” jako faktyczną cenzurę, która knebluje protesty, nakazuje posłuszeństwo społeczno-medialnej poprawności i wszelkie głosy niezgody traktuje jako zdradę? Na pewno o wiele mniej. Ale jest

równie pewne, że o wiele więcej czytelników miały obelgi wysyłane na Twitterze przeciwko autorkom tego listu. To też się nazwa postęp. I demokracja, i wolność wypowiedzi, i wolność od cenzury.

Tylko że anonimowe masowe ataki w mediach społecznościowych, ataki, które natychmiast i bez żadnych dowodów ani procesów rujnują ludzi i ich kariery, niewiele mają wspólnego z demokracją, z wolnością od cenzury i z wolnością wypowiedzi. W mediach społecznościowych każdy ma prawo do wypowiedzi – pod warunkiem, że jest ona politycznie poprawna. Jeśli taka nie jest, jej autor ryzykuje swoją karierę i dobre imię tak samo, jak ofiary tych masowych ataków. Twitter i inne media nie są „demokratycznym” ani „niecenzurowanym” przekazem informacji: są sądem – sądem, który nie przyjmuje dowodów, zeznań ani obrony; sądem natychmiastowym i bezapelacyjnym. Nie ma jak dementować *fake news*, od których na wszystkich mediach społecznościowych się roi; podobno w 2016 r. więcej było na Facebooku zainteresowania różnymi *fake news* na temat wyborów niż wiadomościami podanymi przez wszystkie razem wzięte główne amerykańskie media. Nikt za *fake news* nie odpowiada; nie ma jak protestować i nikogo nie można oskarżyć o ich rozpowszechnianie. Ktoś, kto ma nieszczęście wpaść w szpony kampanii mediów społecznościowych, znajduje się nagle w świecie jak z Kafki.

Media społecznościowe – to znaczy głównie Google, Facebook i Twitter – chcą się, że są demokratyczne i apolityczne, wspierają swobodę wypowiedzi i dają wszystkim możliwość wyrażenia swojej opinii, przyczyniając się do zdrowej debaty publicznej i dobrego funkcjonowania „rynku idei”. Ale jest całkiem inaczej; jest wręcz odwrotnie. Skoro nikt nie wie, skąd pochodzi informacja ani czy jest

*Skoro nikt nie wie, skąd
pochodzi informacja ani czy
jest wiarygodna czy nie,
żadnej prawdziwej debaty
publicznej nie ma i być nie
może*

wiarygodna czy nie,
żadnej prawdziwej
debaty publicznej
nie ma i być nie
może. Rynek idei nie
może spełniać swojej
funkcji jeśli jest
zalany *fake news* i
jeśli opinie,
uznawane za

politycznie niepoprawne i niezgodne z polityką Facebooka, Twittera czy Google'a, nie są dopuszczane do głosu albo zakrzykiwane obelgami, a ich autorzy zaszczuwani. Skutek jest taki, że nigdzie nie ma odpowiedzialności, na niczym nie można polegać i nie wiadomo, gdzie szukać prawdy. Inny skutek jest taki, że tradycyjne media – media, gdzie redakcja jest odpowiedzialna za treść przekazu – w oczach odbiorców mediów społecznościowych tracą wiarygodność. Jeśli celem jest ułatwienie konfrontacji między różnymi opiniami, rozszerzenie dostępu do wiedzy, krzewienie zdrowej debaty publicznej i ochrona przed presją tych, co posiadają władzę i wpływy, cele te raczej nie zostały osiągnięte. Przeciwnie. Ale wiemy, że celem jest coś wręcz przeciwnego: kneblowanie niewygodnych głosów. Innymi słowy, media społecznościowe to nieograniczone możliwości cenzury, propagandy i karania za niesłuszne poglądy – bez sądów, bez procesu i bez możliwości odwołania się. Nawet czarownice od czasu do czasu bywały uniewinniane; tu jednak nie ma wyroków uniewinniających. Znow wygrywa silniejszy – ten z władzą i wpływami, ten, który może w mgnieniu oka zorganizować kampanię, zagłuszającą wszystkie inne głosy.

Można też zwrócić uwagę na pewien brak powagi, jaki towarzyszy oświadczeniom papieża czy prezydenta Stanów Zjednoczonych na Twitterze. Kiedy bulle papieskie i encykliki na Twitterze albo na Facebooku? Wprawdzie miałyby one wtedy ogromną zaletę zwięzłości (mogłyby, na przykład, ograniczać się do Dziesięciu Przykazań), ale przewyższałyby ją jednak wady tego sposobu komunikacji. „Urbi et orbi” zyskałoby całkiem nowe znaczenie; z drugiej strony, byłoby to znaczenie zawężone – może trochę orbi, ale już nie urbi w konkretnym, fizycznym znaczeniu – bo ci nieliczni, którzy nie posługują się Twitterem ani Facebookiem, straciliby do tych wypowiedzi dostęp. Ale nie byłoby już po co jeździć do urbi Rzymu, co z kolei pozwoliłoby oszczędzić na biletach lotniczych.

Media społecznościowe nie mają nic wspólnego z wolnością wypowiedzi

Może tylko w liberalnych demokracjach media społecznościowe są w ten sposób wykorzystywane i

mają tak fatalne skutki. W dyktaturach i krajach autorytarnych – na przykład w Chinach, a także podczas tak zwanej arabskiej wiosny – Twitter odegrał niezmiernie ważną rolę, umożliwiając przepływ informacji. Ale nie można na tym polegać: Google uległ chińskim władzom i zgodził się na zablokowanie swoich stron. Znowy wygrały pieniądze, wpływy, biznes, władza. Co pokazuje, że ani tu, ani tam, media społecznościowe nie mają nic wspólnego z wolnością wypowiedzi. Idę kupić gazetę.